ROZMAITOŚCI.

Dnia 29. Października. № 44. Roku 1856.

DROGA DO BOGACTW.

I.
MALARZ I MUZYK.

Byłoto przy schyłku zimy r. 1849. Pomiędzy podróżnymi zwyczajnego pociągu kolei żelaznej z Auxerre do Paryża znajdował się jakiś młody przystojny mężczyzna, którego powierzchowność i w ogóle całe ułożenie, jako też nieco przytwardy akcent mowy, na pierwsze wejrzenie znamionowały cudzoziemca we Francyi.

I rzeczywiście byłto przybysz z stron dalekich, artysta, spieszący do stolicy oświaty nowoczesnej jako do kresu ostatecznego wykształcenia swojego. Młody Gustaw wymarzył sobie Paryż jako widownię swojego przyszłego powodzenia, swojej przyszłej sławy i fortuny. Toż jechał on tam miotany wszystkiemi owemi myślami, i uczuciami, jakie w podobnym razie tak obficie rodzą się w sercu i umyśle młodzieńca o dwudziestu dwóch wiosnach.

Snać malujące się ztąd wzruszenie na jego twarzy rozbudziło ciekawość reszty towarzyszów podróży, bo jeden z nich zwrócił się naraz ku niemu, i zapytał go z udziałem, dokąd tak daleką podejmuje podróż?

„Jestem malarzem“ — odparł Gustaw — „jadę do Paryża dobijać się sławy i fortuny.“

Na te słowa ciekawy podróżny uśmiechnął się szyderczo, a po chwili zanucił jakąś piosnkę z pewnej sławnej podówczas opery komicznej.

„Te dwa słowa: sława i szczęście nie podobały mu się jak widzę“ — pomyślał Gustaw. — „Jestto zapewne jakiś krytyk zazdrosny, albo jakiś odludek pogardzający wszelkiemi błyskotkami świata, albo wreście jakiś rozbitek, odepchnięty od wszystkich ścieżek życia towarzyskiego.“

Młody artysta mylił się we wszystkiem.

Jego ciekawy mało co starszy towarzysz podróży byłto prostoduszny, poczciwy mieszczanin, fabrykant jedwabiu w Paryżu, człowiek miłujący wielce sztukę i literaturę. Wnet pokazał się on w swojem prawdziwem świetle.

„Jako cudzoziemiec nie możesz pan znać naszego Paryża“ — ozwał się po chwili z serdeczną otwartością. — „Staniemy w nim najdalej za dwie godziny. Jeśli pozwolisz, posłużę ci za przewodnika w mieście, w którem tyle niebezpieczeństw zagraża przy każdym kroku nieznajomemu przybyszowi. Sądzę że nie pożałujesz tego bynajmniej.“

Gustaw przyjął z wdzięcznością oświadczenie poczciwego fabrykanta. Zaledwie też stanęli obadwaj na podworcu kolei żelaznej w Paryżu, pochwycił go uprzejmy towarzysz podróży za ramię, i rzekł mu z niemniej ujmującą szczerością:

„Mieszkam ztąd o kilkanaście kroków w małym prześlicznym domku obok *Jardin des Plantes*: sprowadź się do mnie na czas niejakiś; zapraszam cię całem sercem. Pierwsze dnie pobytu w Paryżu, tak nieprzyjemne dla cudzoziemca, daleko łatwiej upłyną ci wobec ludzi przynajmniej cokolwiek już znajomych. Za tydzień, jeśli zechcesz być wolnym, będziesz mógł przenieść się na własne mieszkanie. Pojdź więc ze mną.“

Gustaw opierał się z początku tak dorywczym zaprosinom człowieka, do którego przyjaźni nie mógł rościć sobie najmniejszego prawa. Lecz poczciwy fabrykant przerwał mu spiesznie:

„Dla Boga! żadnych ceremonij! Nazywam się Julian Dupré, jestem fabrykantem jedwabiu, posiadam milion majątku, i sprzyjam z całej duszy sztuce i artystom. Podobałeś mi się pan od pierwszego wejrzenia. Pojdź więc ze mną, bede ci raczej bratem niż przyjacielem.“

„Przy tem wszystkiem“ — dodał spiesznie, gdy Gustaw ciągle się wahał — „będziesz panem swojej woli w każdej chwili. Jeśli dzisiejszego nawet wieczora zechcesz wyprowadzić się z mojego domu, nikt nie przeszkodzi ci bynajmniej.“

„Dobrze więc!“ — odrzekł Gustaw. — „Przyjmuję zaprosiny, lubo nie zasługuję wcale na

taką łaskę. Jeśli jej nadużyję, będzie to własna wina pańska.“

W pół godziny potem rozgościli się obadwaj towarzysze podróży w prześlicznym domku przy ulicy Cuviera.

W pomieszkaniu fabrykanta panował przepych milionera, bez wszelkich jednak błyskotek, bez wszelkiej umyślnej wystawy. Julian Dupré przedstawił zaraz obcego gościa swej nielicznej familii.

„Oto!“ — rzekł do żony — „walny młodzieniec, którego poznałem w drodze, i którego radbym nazwał przyjacielem. Ma on oswoić się przy nas z życiem paryskiem, tak trudnem z początku. Musimy czuwać nad nim jak nad jednem z naszych dzieci.“

Gustaw nie posiadał się z zadziwienia. Tyle prostoduszności, tyle otwartości w pośród zgiełkliwego, osławionego, niespokojnego życia olbrzymiej stolicy — rzecz to zaprawdę niespodziewana dla niego.

Ułożywszy się do spoczynku, na łóżku zasłanem z jaknajwiększą wytwornością, rzekł sam do siebie:

„Otoż zaraz na wstępie znalazłem złote serca. Sąto ludzie dziwnie patryarchalnych obyczajów. Lecz zdołająż oni pojąć zapał i marzenia młodego artysty? Nic przyjemniejszego, lecz nic zarazem jednostajniejszego jak to ich życie! Posiadają oni bogactwa, nie troszcząc się o żadne wyższe cele; mogą dogodzić z łatwością najdziwaczniejszym kaprysom, najwybredniejszemu zachceniu swego humoru; widzą zawsze przed sobą takie samiutkie jutro, jakie było wczoraj i pozawczoraj. Mogąż więc w takiem stanie rzeczy przejąć się jakimś szlachetniejszym płomieniem? Dziwiłbym się niezmiernie, gdybym przez dłuższy czas mógł zabawić w tym domu.“

Nazajutrz rano zaprosił go p. Dupré do zwidzenia swojej fabryki jedwabiu.

W trzech przestronnych salach pracowało wesoło i ochoczo do trzechset robotników. Jedni przeczesywali włókna, drudzy skręcali nici, inni znowu zwijali motki.

„Oto przynajmniej piędziesiąt rodzin, żyjących przy mnie i ze mnie“ — rzekł fabrykant. — „Wszyscy oddani mi są całem sercem i całą duszą. Są to moi najszczersi przyjaciele.“

Przy obiedzie ozwał się Gustaw jakby w odpowiedź na poprzednie słowa gospodarza:

„Bez wątpienia, przemysł zajmuje szczytne stanowisko w dzisiejszym świecie. Będzie on z czasem najpotężniejszą podporą nowoczesnego społeczeństwa, najsilniejszą dźwignią przyszłego życia narodów. Przy tem wszystkiem jednakże nie może on wcale równać się z sztuką, tym cudnym, wonnym, złotobarwnym kwiatem myśli i ducha.“

„Nie chcę nigdy i w niczem uwłaczać sztuce“ — przemówił na to p. Dupré — „bo cenię i lubię ją nadwszystko. Wszakże przyznam się szczerze, że nie mogę nigdy spojrzeć bez żalu na młodego człowieka, który mi powie: „Jestem artystą!“ Od trzydziestu prawie lat marzą wszyscy ozdobieni tem mianem o życiu pełnem chwały i świetności, a po kilkunastu latach zawodu i walki widzą się wszyscy z bardzo małym tylko wyjątkiem bez sławy i bez majątku, w lichych i ciemnych mansardach. Wiem że co tu mówię, uchodzi za uprzedzenie zastarzałe; mniemam jednak, iż mimo to jest ono prawdą niezbitą.“

W tymsamym czasie wychylił p. Dupré swój krzyształowy puhar, i zwrócił się do Gustawa:

„Gustawie!“ — rzekł z niejakim naciskiem — „czy na zawsze myślisz zostać artystą?“

„Na zawsze.“

„Jak ci się podoba; lecz może zechciałbyś posłuchać historyi, któraby cię mogła wiele nauczyć. Jestto historya mojego własnego życia.“

„Jaknajchętniej.“

„Pietnaście lat temu, jak po raz pierwszy przybyłem do Paryża, zupełnie w takiemsamem położeniu jak ty wczoraj. W małej wioszczynie Auvernii, mojem miejscu rodzinnem, miałem pierwszego nauczyciela w starym poczciwym proboszczu, który serdeczne powziął ku mnie przywiązanie. Uczył mię on nie tylko wszystkiego co sam umiał, lecz nadto chciał jeszcze zrobić ze mnie muzyka. W młodości swojej nauczył się był grać na skrzypcach, a co mu było nieobcem, to chciał on koniecznie wszczepić i we mnie. Zaledwie jednak pierwsze w tym przedmiocie uczyniłem postępy, zaczęto już ze wszystkich stron upajać mię trucizną pochwał przedwczesnych, zdolną najsilniejszą omamić głowę. „Posiada instynkt artysty!“ — wołali chórem sąsiedzi. — „Jestto talent, który z czasem wzbije się w jeniusz.“ Wiesz pan, jak łatwo wpoić w umysł dziecinny jakiekolwiek urojenie, jakiekolwiek opaczne przeświadczenie. Toż i ja powziąłem wkrótce niezbite przekonanie, iż powołaniem mojem jest poświęcić się zupełnie sztuce.“

„Podobnegoż zdania byli i moi rodzice: „Po co nam się troszczyć o przyszłość Juliana“ — mówili oboje najspokojniej. — „Ten chłopiec

posiada instynkt muzykalny w najwyższym stopniu, a dziś sztuki prowadzą tak łatwo do sławy i majątku. Zróbmy z niego artystę — muzyka.“

„Polegając na tem przekonaniu, nie kazano mi nawet kończyć już szkół zwyczajnych. Bo i na cóż tego wszystkiego? Potrzeba było oszczędzać czasu. Otoż przysposobiono mi na prędce jaką taką wyprawę, dano kilka talarów w jedwabnej sakiewce do kieszeni, i odesłano z pospiechem do Paryża.“

„Jeśli się nie mylę“ — zagadnął Gustaw — „tedy powieść pańska zaczyna się jak wiele innych.“

„Zaczekaj pan! Skończy się ona na szczęście jak bajka romantyczna, uleczająca umysł w porę z wszelkich przesadnych illuzyj i uprzedzeń.“

Po tych słowach wychylił fabrykant znowu swój puhar, i zaczął opowiadać dalej:

„Przyjechawszy do Paryża, sprowadziłem się na zimne i ciemne poddasze, i o chłodzie i głodzie zacząłem moje studya. Porwany myślą o świetuości mojego przyszłego zawodu, ćwiczyłem się dniem i nocą w muzyce z taką pilnością, z takim zapałem, że w krótkim czasie uzyskałem już niejaką wprawę na n o-im instrumencie. Na domiar szczęścia rozpisano właśnie konkurs w konserwatoryum. Odniosłszy w nim pierwszą nagrodę, zostałem dla ukończenia dalszych nauk wysłany na koszt rządu do Włoch, na pięcioletni pobyt w Rzymie.

Wówczas i najobojętniejsi uwierzyli w świetność przyszłego losu mojego. Poczciwy proboszcz płakał z radości i dumy, rodzice nie posiadali się od szczęścia i uciechy. Cała wieś zazdrościła im, moje imię obiegało z ust do ust, zasłynęło w dziennikach, miało być bodźcem do nauki dla wszystkiej młodzieży francuskiej. Ja sam miałem głowę oszołomioną, a wierząc ślepo w swój talent i swoje powołanie, mawiałem sobie przynajmniej dwadzieścia razy na dzień:

„Za pięć lat, gdy wrócę z Rzymu, każę światu zapomnieć oniemiałego Rossyniego.“

„I rzeczywiście“ — zawołał żywo Gustaw — dlaczegoż nie dotrzymałeś słowa, i nie stałeś się wielkim człowiekiem?“

„Z wielu przyczyn, mój drogi. Szczególniej zaś dlatego, że miałem tylko talent, a talent to rzecz bardzo powszednia, nie zapewnią nikomu świetnego powodzenia na niwie sztuki i literatury. Doświadczyłem tego najlepiej sam na sobie. Zaledwie po odbytym kursie pięcioletnim wróciłem z Rzymu, powiodło mi się natychmiast otrzymać od ministra spraw wewnętrznych wezwanie, abym dla któregokolwiek z uprzywilejowanych teatrów francuskich napisał operę jednoaktową.“

„Sądzę“ — zagadnął Gustaw — „że talent kompozytorski można taksamo objawić w jednoaktowej operze jak w kompozycyi na większy rozmiar.“

„Bez wątpienia, mój drogi Gustawie. Lecz zanim taką obowiązkową operę napisać, potrzeba z niejedną uporać się trudnością. Żadna opera nie może być bez tekstu. O tekst chodzi więc przedewszystkiem. Lecz zkądże go wziąć? Mówią że poetów jest bez liku na świecie; na pierwszej lepszej ulicy można ich spotkać tuzin w godzinie. Ależ pomiędzy tą całą ćmą wierszokletów jest zaledwie sześciu czy siedmiu, których publiczność lubi i poważa, a między tymi wybranymi znajdziesz zaledwie dwóch albo trzech, którzy zechcą pisać wiersze nie dla poezyi lecz dla muzyki. Udajże się teraz do którego z nich! „Masz pan już imię?“ — zapyta cię zaraz po pierwszych słowach. Odpowiesz że dopiero rozpoczynasz zawód, że jeszcze nie miałeś czasu dobić się sławy. „W takim razie“ — odpowie ci chłodno ulubieniec muz — „musisz pan przyjść do mnie nieco poźniej, gdy już nabędziesz niejakiego wzięcia i rozgłosu, a będę widział czy da się co zrobić dla pana.“ U drugiego i trzeciego bywa trochę odmienna forma dyalogu, lecz jego znaczenie jedno i tożsamo.“

„Cożeś więc począł?“ — zapytał Gustaw z rozbudzonem zajęciem.

„Co począłem? Dowiesz się bez zwłoki. Szczeźliwy przypadek wyjednał mi po ośmnastomiesięcznej zwłoce przystęp do pewnego znakomitego autora. Miałem już tekst, miałem go namorzywszy się pierwej głodem przez półtora roku, nabiedowawszy się najokropniej, napłakawszy się omal nie do utraty wzroku, nawiniwszy, naprzeklinawszy siebie i swoje przeznaczenie.

Majac już wreście *libretto* w ręku, nabrałem otuchy, pewien iż odtąd pojdzie wszystko innym torem. Lecz jakkolwiek pilnie pracowałem dniem i nocą, jakkolwiek dość szybko szła mi robota, nie podobna było wykończyć muzykę do tekstu prędzej jak w cztérech miesiącach.

Pod ten czas pisał mi ojciec, nie mogąc sobie wytłumaczyć mego uporczywego milczenia:

„Cóż robisz próżniaku, czyż zapominasz o swojem powołaniu, wyrzekasz się zupełnie przyszłości?“

A moi koledzy mawiali złośliwie:

„Milczy, aby nie stracić reputacyi, którą niezasłużonym sposobem nabył pierwszą nagrodą.“

„Mimo to wszystko, w niespełna dwóch latach po powrocie z Rzymu, była już opera moja zupełnie ukończoną.“

„Otoż i po wszystkich trudnościach“ — zawołał Gustaw.

„Przeciwnie mój drogi. Trudności się zwiększają, odnawiają się dawne, przybywają nowe. Cóż bowiem znaczy posiadać sztukę ukończoną — w tece. Jej życie liczy się dopiero od przyjęcia w repertoarz teatralny.“ Uzbrojony dyplomem ukończonego ucznia muzycznej szkoły rzymskiej, zacząłem naprzykrzać się dyrektorom teatrów uprzywilejowanych. I zaledwie możnaby dać wiarę! Dopiero po czterech miesiącach udało mi się znaleźć jednego, który powiedział: „Każ pan przekopiować swoją sztukę; muszę ją bliżej poznać.“

Tu nastąpiły wydatki, nowe trudności, nowe zachody i kłopoty; aż wreście po dalszej zwłoce sześciomiesięcznej, czyli po trzech latach od powrotu z Rzymu, otrzymuję pewnego poranku list od dyrektora.“

„Pańska opera została przyjęta“ — pisał mi lakonicznie.

„Przecież!“ — zawołał Gustaw z radością.

„Przecież! Tak i ja pomyślałem, i powiedziałem sobie głośno: „Niedola moja już się skończyła; stoję nakoniec w przedsionku szczęścia i chwały.“ O myśli dziecinna! Sztuka przyjęta do repertoarza nie jest jeszcze sztuką graną na deskach. Dyrektor powiedział mi: „Potrzeba czekać aż przyjdzie kolej na pańską sztukę. Inni przedłożyli wcześniej swoje prace, słusznie tedy aby wcześniej także doczekali się przedstawienia.“

Tak upłynęło sześć miesięcy.

Natarłem na dyrektora. „Teraz zima!“ — odpowiedział mi z swoim zwyczajnym uśmiechem uprzejmym. — „Sztuka pańska wyda się najlepiej w lecie. W sierpniu może mieć największe powodzenie. Czekajmy tedy lata.“

Czekałem, pożerany smutkiem, boleścią, niecierpliwością. W pierwszych dniach sierpnia przypomniałem się dyrektorowi, lecz wtedy grano jakąś nową sztukę, przyjętą z wielkim aplauzem przez publiczność. Niepodobna było przerywać dla mnie jej dalszych przedstawień.

„Nic to nie znaczy“ — pocieszał mię słodziutkim głosem dyrektor. — „Pańska sztuka może być przedstawioną w zimie, ale w późnej zimie. W styczniu, przy mrozie i śniegu na dworze, zachwyci publiczność samym kontrastem.“

„Czekajmy tedy!“ — szepnąłem połykając łzy, cisnące się mimowolnie do oczu. W styczniu dostała chrypki pierwsza spiewaczka, a pierwszy tenor poróżnił się z dyrektorem.“

„Czekajmy lata“ — rzekł mi niezrażony dyrektor. I cóż było robić? Czekałem, wlokąc ciągle dnie moje w nędzy, smutku i rozpaczy. Aby mieć codziennie kęsek suchego chleba, aby mieć białą koszulę na ciele, musiałem dawać lekcye, musiałem dla kilku franków przebiegać miasto od końca do końca, a czasami brać nawet udział w orkiestrach, przygrywujących po szynkowniach i domach publicznych. I potrzeba było w takim stanie żyć jeszcze całe dwa lata. Dopiero po upływie tego czasu napisał mi dyrektor pewnego wieczora: „Jutro zapowiadam pańską sztukę.“

„Ach! nadszedł przecież dzień pożądany!“ — zawołał Gustaw.

„Nadszedł dzień przeklęty, wieczór okrutny, godzina obalająca jednym zamachem cały gmach moich marzeń i nadziej. Dyrektor przyspieszył moją sztukę, aby odwlec jakieś inne przedstawienie, które przypadać miało w tężsamą porę. Ztąd przystąpiono z jaknajwiększym pospiechem do mego dzieła. Obsadziwszy jaknajgorzej orkiestrę, porozdzielano niestosownie role, nie postarano się o należyte stroje i dekoracye.... Wyświstano mnie!.. O tak, ta tłuszcza bez serca i rozumu, dla której tyle poniosłem poświeceń, dla której tyle łez uroniłem, tyle położyłem trudu i pracy, tasama tłuszcza wywdzięczyła mi się gorzką obelgą, zapłaciła mi pracę moją urągowiskiem, sykiem rozjuszonej gadziny.

Powróciwszy na moje poddasze, odchodziłem od zmysłów z rozpaczy i gniewu. Nazajutrz zaś powiedziałem sobie: „Potrzeba zacząć na nowo, inaczej umrę z wstydu i głodu!“ I chciałem rzeczywiście odnowić tę walkę szatańską, która już w początkach pozbawiała mię wiary i nadziei. Lecz wtem otrzymałem list od mojej siostry mlecznej i dalekiej krewnej...“

„A może zarazem i kochanki?“ — przerwał Gustaw.

„Owszem narzeczonej, mój domyślny przyjacielu. Pisała mi krótko: „Julianie, nie trać odwagi!“ Przyjm propozycyę, którą przezemnie robi ci mój ojciec. Kupił on właśnie

fabrykę jedwabiu, i porucza ci jej zarząd. Porzuć wszystkie złudne marzenia, i przybądź do nas.“

List ten był balsamem na moją ranę. Żałowałem wprawdzie wawrzynów Rossyniego, lecz przekonałem się, że sława nazbyt drogo kosztuje. Głód wycieńczył moje policzki, rozczarowanie otrzeźwiło umysł, cierpki zawód przygasił zapał; wycisnąwszy tedy gorący pocałunek na liście mojej siostry mlecznej, udałem się do jej ojca.“

„Dorozumiewam się już końca powieści“— wtrącił Gustaw.

„Bo też koniec bardzo prosty. Stałem się z czasem wybornym fabrykantem, a poźniej dobrym mężem. Powiedziano mi: „Daj pokój muzyce, porzuć skrzypce, ani słówka więcej o operze.“ I tak też zrobiłem. Dopiero po pięciu latach poszedłem z rodziną do teatru po raz pierwszy od czasu wyświstania. Moje dawne przygody przypominam sobie wtedy tylko, gdy chcę uleczyć jakiś umysł zbłąkany.“

„Mówmy o czem innem“ — mruknął Gustaw z widoczną niechęcią. (D. n.)

O WYCHOWANIU KOBIECEM.

W świeżo wydanych Pamiętnikach z życia Ewy Felińskiej poświęca szanowna autorka obszerną przedmiotowi temu rozprawę, którą rozpoczyna smutnym obrazem pewnego pensyonatu, a potem tak mówi dalej:

„.....Piszę to jedynie dla zwrócenia uwagi matek na wybór przewodniczek pod względem moralnym; niebezpieczno powierzać dzieci, ten skarb nasz najdroższy osobie, której się nie zna duszy, ani zasad. Prawda, że matkom trudno czasem wejść w ściślejsze stosunki z naczelniczką zakładu, aby zgłębić jej sposób myślenia; tembardziej, że przewrotność umie czasem tak dobrze naśladować język cnoty, że się można pomylić; ale na to Zbawiciel podał nam sposób nieomylny, mówiąc: „Z owoców ich poznacie je.“ Patrząc w życie, omylić się nie można.

O gdyby się wrócić do tych błogich czasów, kiedy matki same były przewodniczkami i nauczycielkami córek! Prawda że teraźniejszym wymaganiom matki same podołać nie mogą, ale czy te wymagania są prawdziwą potrzebą, nad tem zastanowić się godzi.

Jeśli magnatki ubierają córki swoje w kwiaty wychowania, języki i talenta, przeciw temu nic nie mam do powiedzenia; inny świat je otoczy: bawić się, jaśnieć na wysokościach, obwozić swój żywot po ulicach, to będzie ich zajęciem; ale dla szlachty średniego majątku, dla obywatelek ziemi na której się porodziły, i na której umrą według wszelkiego podobieństwa, czego innego potrzeba. Zasady moralne ugruntowane na podstawie religijnej, zdrowy rozsądek, przyzwyczajenie do pracy, do porządku, do obchodzenia się małem, do wydobycia z własnej zapobiegliwości dostatku i przyjemności życia, przytem słodycz, pobłażliwość, cierpliwość w znoszeniu rozmaitych przygód życia, czy te dotykają materyalną, czy moralną stronę człowieka: oto są najdroższe nabytki dla kobiety, dla szczęścia jej własnego i szczęścia drugich, a te bez pomocy guwernantek, rozsądna matka najlepiej jest w stanie zaszczepić w duszę córki, słowem a nadewszystko codziennym przykładem. Tego nigdzie pewno nie nauczą. A nawet gdyby gdziekolwiek i przedstawiano najlepsze przykłady za pomocą książki albo mowy, one nigdy nie będą miały tej siły życia, jaką przedstawia czyn praktyczny.

Obaczmy wiele jest takich, które po zamążpójścin uprawiają talenta, których nabycie kosztowało wiele mozoły, a rodzicom przyczyniło wiele kosztu. Ledwie się znajdzie jedna zpomiędzy kilkudziesięciu, która przy zajęciach przywiązanych do stanu (mówię zawsze o wiejskich gospodyniach domu), znalazła wolne chwile dla pęzla lub instrumentu. Takie osoby mają zwykle zdolność i upodobanie prawdziwe, a co więcej, obdarzone są wielką działalnością, a takie jednostki trzeba rachować do wyjątków; ja zaś większość mam na względzie, i patrząc na tę większość widzę, że jeżeli w pośród niej wyrobił się za pomocą pracy i czasu jakiś mierny talencik, ten po krótkiem użyciu przez kilka lat pierwszej młodości, po zamążpójściu niby spełniwszy missyę, idzie w schowanie do magazynu, jako sprzęt wyszły z użycia, zostawiając na ścianie kilka pomników w ramkach, na świadectwo krótkiego istnienia, lub fortepian w rogu pokoju, który się nigdy nie otwiera, chyba w rzadkich okolicznościach.

Za te talenta krótkiej trwałości, długą pracą okupione, jaki brak czuć się daje wiadomości nieodbicie potrzebnych w życiu praktycznem kobiety. Od czasu jak matki same się przestały trudnić wychowaniem córek, wyręczając się pomocą specyalnych nauczycielek, a te zamiast nauki życia, czerpanej w żywych wzorach, zaczęły zarzucać młode pokolenia

książkami, szkołami, przepisami, rejzbretami; zniknął prawie z naszej ziemi ów ród przyjemnych i rządnych gospodyń domu, które były jego opatrznością, za których myślą troskliwą w ślad postępowały obfitość, porządek, przyjemność, wygody a nawet dostatek w ogólnej fortunie. Niech bowiem co chcą mówią o małem znaczeniu rządności kobiecej, nie zaprzeczam, że praca ich osobista nie wydaje znacznych rezultatów, jednak rzecz pewna, że działania mężów są powiązane jakąś nicią nie dostrzeżoną z dążeniami żon. Nieraz widzieć się zdarzyło jak najłagodniejsza, najlepsza kobieta, skromna we własnych życzeniach, nie narzucająca nikomu swego zdania, nie opierająca się przy swych żądaniach, potrafiła wpłynąć na roztrzepanego męża i zamienić gust jego do roztargnień na upodobanie w życiu domowem i na zasmakowanie w zajęciach obowiązkowych. Przeciwnie widziałam, jak najhartowniejsza wola mężczyzny, praca i zapobiegliwość, nie wydały żadnego owocu, jeżeli dążenia żony wprost były przeciwne dążeniom męża. Jestto jakaś tajemnica, której Bóg używa do ustanowienia równowagi między siłą a słabością.

Przy zwykłem tegoczesnem wychowaniu, jeżeli która młoda-kobieta po zamążpójściu, rozpatrzywszy się w potrzebach domu, uznała że nauka dotąd jej udzielana nie przydaje się do niczego w życiu praktycznem, i że jej potrzebna nowa edukacya, z iluż trudnościami walczyć musiała, nim własną pracą wydeptała drogę nową, po której nie chodziła; ileżby trudów matka oszczędziła córce swojej, prowadząc ją od dzieciństwa w ślad za swojem doświadczeniem.

Nie można mieć za złe guwernantkom, że nie przysposabiają uczennic swoich do przyszłych obowiązków, kiedy po większej części same ich nigdy nie dźwigały, i z książek tylko czerpały pojęcia o życiu, które wyobraźnia podnosiła do różnych potęg; a gdy doświadczenie nigdy nie kontrolowało rachunku, naturalnie że nieobliczone musiały wciskać się pomyłki.

Mówiąc o wychowaniu dzisiejszem, nie od rzeczy będzie jak mi się zdaje zwrócić uwagę na stosunek jego do zdrowia, które jest ważne nie tylko dla uczennic, ale dla przyszłych mężów i ich pokoleń. Od czasu jak wprowadzono tak wiele przedmiotów do nauk kobiecych, że uznano potrzebę od dzieciństwa obciążać głowę dziewcząt pracą umysłową, niestosowną do sił i potrzeb organizmu, i przymuszać do życia siedzącego, nad książką, seksternem, przy fortepianie i rejzbrecie, wtenczas kiedyby młody organizm dla rozwicia się i wzmocnienia potrzebował ruchu, wolnego krwi krążenia i świeżego powietrza, zjawiły się słabości nieznane pomiędzy dawnemi pokoleniami naszego kraju: bledniaczki i choroby nerwowe form rozmaitych.

Natura potrzebuje, aby zachować harmonię w rozwijaniu władz danych człowiekowi: nie można bezkarnie popychać jedne z pokrzywdzeniem drugich, bo cała machina wpada w nieład i zamieszanie; przy teraźniejszych zaś wymaganiach trudno zachować tę harmonię. Dla nabycia licznych nauk i talentów, które dziś uważają za nieodbicie potrzebne, mała dziewczyna musi koniecznie prowadzić życie siedzące. Ileż godzin na dobę musi przesiedzieć przykuta do krzesełka, przy stoliku lub fortepianie. Biegając nie może ani gamm wygrywać, ani pisać, ani malować; a folgować nie można, bo czasu nie wystarcza. Trzeba przez krótki przeciąg dzieciństwa kobiety, wyuczyć ją tak wiele rzeczy, aby skoro zakwitnie, już gotową światu pokazać. Nie można więc zrobić inaczej, tylko trzeba poświęcić zdrowie, ten skarb nieoceniony, nabyciom, których korzyści jasno nie postrzegamy.

Nie mówię aby umysł kobiety puścić odłogiem, bez wykształcenia, a rozwijać tylko stronę fizyczną; w takim razie równie jak w pierwszym harmonia zerwanaby została, człowiek zwierzę potłumiłby człowieka myślącego. Wreście połowa rodu ludzkiego musi postępować za drugą połową choć zdaleka, oddzielić się od niej zupełnie choć wyobrażeniami, nie wypada. Nie biję zatem na oświatę, alebym żądała aby zrobiono inny wybór nauk, stosowniejszy do potrzeb miejscowych.

Cobyśmy stracili na przykład pod względem oświaty, gdybyśmy wyrzucili z katalogu naukę obcych języków? Wszak rzadko która ze szlachcianek średniego majątku, wyjeżdża za granicę, aby miała potrzebę rozmówić się z cudzoziemcami, a na polskich zgromadzeniach język polski zawsze zrozumianym będzie. Czy żal francuskiej literatury? Alboż własna literatura zastąpić ją nie może? Wszak nauka języków choćby ich uczyć w największej liczbie, nie rozprzestrzenia wyobrażeń, nawet może wywiera skutek przeciwny, bo ćwicząc pamięć jedynie, trudniąc umysł samemi dźwiękami, odzwyczaja go od pracy samoistnej. Znałam kilku lingwistów, których myśl była bardzo ubogą, gdy szło o zgłębienie

jakiego przedmiotu własnemi siłami. Wreszcie jeżeliby się znalazła w obcym języku książka prawdziwie piękna, lub pożyteczna, czy nie może być przetłumaczoną? Mało kto u nas czytał Homera, albo Bajrona w oryginale, a jednak komuż z czytających obce są te arcydzieła. Tak się dzieje i z innemi książkami, mającemi zaletę piękna albo pożytku. Francuzi, Niemcy nie wstydzą się przyswajać swojej literaturze, co znajdują pięknego u obcych, a my dlaczegoż mamy być wybredniejszemi? Nie stosuję tego do mężczyzn, którym znajomość języków może być przydatną, a nawet konieczną.

Wyrzuciwszy naukę języków z katalogu nauk, dawanych kobietom, jużbyśmy uprzątnęli wiele trudności w wychowaniu. Dziś uważając język francuski (nie wspominam już o innych językach) za głównie potrzebny, najpierwszem staraniem matek, znaleźć nauczycielkę jeśli nie Francuskę rodem, przynajmniej mającą dobry akcent francuski, i mówiącą płynnie tym językiem, a znalazłszy ten ważny warunek, muszą zamykać oczy na inne dodatki, na charakter, dobry albo fałszywy sposób widzenia, na kaprysy, fantazye, które oprócz codziennych przykrości, często są zaraźliwe; a młode wyobraźnie oswoiwszy się z niemi od dzieciństwa, w poźniejszym czasie jeśli mają nieszczęście ulegać tym chorobliwym napadom, nie walczą, nie opierają się, bo je uważają za stan normalny.

Nie przesadzam mówiąc, że akcent francuski, przymiot tak marny, tak bezpłodny sam z siebie, jest jednak głównym warunkiem rządzącym wyborem nauczycielki. Wtem się odwołuję do świadectwa samychże matek. Proszę aby mi powiedziały otwarcie, czy wzięłyby za guwernantkę osobę dobrą, rozsądną, z dostateczną nauką, jednem słowem obdarzoną wszystkiemi przymiotami, którychby można życzyć w nauczycielce, gdyby na nieszczęście mówiła złym akcentem po francusku. Jeżeli zechcą być szczere, zapewnie odpowiedzą „nie.“

Powiedziawszy słów kilka o nauce języków, zostaje mi wspomnieć o talentach wprowadzonych jako warunek nieodbity wychowania kobiet. Mówię o muzyce i rysunku, a szczególnie o muzyce, która powszechniej jest uprawiana.

Sama lubiąc namiętnie muzykę i rysunek, nic rzucę pewnie przeciw nim klątwy, jednak miłość prawdy każe mi na bok złożyć sympatye osobiste i zastanowić się nad tym przedmiotem bez żadnego uprzedzenia. Kiedy głębiej rozważam, zdaje mi się, że dano tym talentom w wychowaniu (szczególnie muzyce) więcej rozciągłości, niżby wypadało, narzucając ją każdej bez wyjątku uczennicy, dla tego z tych, co się uczyły, jak mało jest takich, któreby odniosły tyle przynajmniej korzyści, aby mogły i same sobie i drugim uprzyjemnić chwile, zbywające od obowiązków! Przerzuciwszy myślą długi szereg kobiet, co się muzyki uczyły, ledwie natrafi się na kilka, co nie zaniechały zupełnie mozolnie nabytego talentu, reszta pobrząkawszy lat kilka bez upodobania i biegłości, po zamążpójściu całkiem zaniedbują, co dowodzi, że nie było w duszy żadnego usposobienia, tylko rzucono na ofiarę zwyczajowi kilka lat ciężkiej pracy, która użyta inaczej mogłaby lepszy wydać owoc.

Mojem zdaniem wtenczas tylko warto uprawiać talenta, kiedy są wyraźne skazówki, że jest zdolność ku nim i upodobanie, a prawdziwa zdatność zdradza się od dzieciństwa. Sześcioletnie dziecko jeżeli ma ucho muzykalne, zaraz pochwyci nutę piosneczki, która mu wpadła do duszy, wyspiewa ją, nie zapomni; będzie spiewać z trafnem nagięciem głosu *lu-la* kołysząc swoją lalkę, ale jeżeli która uczennica widzi w kawałku muzycznym same fuzy proste i wiązane, i do nich tylko umie stosować mechanizm rąk swoich, bez udziału ucha i czucia, może ona otrzymać pewne rezultaty pod względem mechanizmu, ale sztuka nie uzna ją za swe dziecko, nie tchnie w nią duszy; a taki talent prędko omartwieje. Toż samo powiedzieć można o rysunku.

Dla mieszkanek miasta talenta są więcej potrzebne; one nie mają zajęć tak różnorodnych jak wieśniaczki, są w częstszym stosunku z ludźmi, których bawić potrzeba, i same więcej mają czasu zbywającego od zatrudnień; ale gospodyni wiejska jeżeli zechce odpowiedzieć swemu powołaniu, nie może uskarżać się na brak zajecia; czas zbywający ciężyć jej nie może. Opatrzenie wszystkich gałęzi gospodarstwa, stosunki z włościanami tak różnorodne, które wkładają rozmaite obowiązki, upięknienie wiejskiego pomieszkania, nastręczają zajęcia tak liczne, tak urozmaicone, że przy wielkiej czynności, zaledwie im wydołać można. Dodać do tego wychowanie i kształcenie dzieci, które więcej wymagają starań ze strony matki, mieszkającej na wsi, niż miejskiej mieszkanki. W mieście są rozmaite pomoce, rozmaici wyręczyciele, którzy zastępując matkę, czas jej oswo-

bodzają: na wsi pomoc obca jest zwykle ograniczoną, a matka musi własną osobą zastępować rozmaite niedostatki; a jeżeli zostaje wolna chwila od zatrudnień, czyż jej nic może zająć polska książka i robota, nie odwołując się do talentów?

Wreście jeszcze raz powtarzam: nie potępiam talentów bezwarunkowo. Owszem jeżeli która poczuje w sobie zdolność i miłość sztuki, niech ją uprawia, niech ją doskonali. Radabym tylko oswobodzić od próżnej mozoły te, które nie odebrawszy namaszczenia, męczą się daremnie, tracąc czas i przyczyniając kłopotu i kosztu biednym rodzicom."

Maski. Ten który powiedział, że wielkie miasta i wielkie towarzystwa były tylko maskowym balem, przez cały rok trwającym, chciał zrobić dowcipny ucinek, lecz idzie tu o maski sztuczne, nie zaś o maski moralne i fizyczne. Bez wątpienia każdy człowiek zdradziecki, fałszywy, świętoszek, obłudny, pochlebca nosi maskę, lecz do Lawatera, do Galla należy poznać je z pewnych znaków, a nawet jeśli można zrzucić z nich maskę. Byłoby to wielką dla społeczności przysługą, lecz nie tak prędko uskutecznić to można. Starożytni i teraźniejsi różnią się bardzo w użyciu masek. Cóż za przedział między zwyczajami Greków i Wenecyan! Teatr ateński użytecznie używał masek dla wzbudzenia litości i przestrachu, w Wenecyi używano ich dla zagłuszenia przykrości życia, pomnożenia roskoszy i zapomnienia na jakiś czas o sławnym „moście westchnień". Sztuka dramatyczna u starożytnych zasadzała się na wielkości wrażenia, zdziałanego przez maski. Teatra nasze zasadzają się na oddaniu wyrazu twarzy. Starożytni mieli niezmierne teatra, gdzie tłumy ludu w wielkiej odległości od sceny siedząc, nie mogły poznać inaczej rysów charakteru osoby, jak tylko za pomocą wielkiej maski, która w odległości traciła swoją niekształtność. Byłyto wrażenia na odległość obrachowane, tak jak u nas w kościołach są malowania *al fresco*, które widziane zbliska wydają się kolosalnemi i potwornemi, a uważane z właściwego punktu widzenia, sprawują w nas zadziwienie połączone z radością. My przeciwnie znajdując się w teatrach, podobnych do wielkich sal, bylibyśmy oburzeni widokiem greckich lub jakichkolwiek masek, a nasze tragedye i komedye potrzebują tylko łatwych poruszeń i ciągłej zmiany w twarzy aktorów. Zresztą ich silny głos, wzmocniony przez ułożenie masek u starożytnych, byłby utrudzającym i niezgodnym w małej odległości, która widzów od aktorów przedziela. U starożytnych grzmiące słowa aktora traicznego, jego gwałtowne westchnienia i jęki, przebiegały wielką przestrzeń nim doszły do ucha widzów, w niezmiernym cyrku siedzących; przeciwnie nasi aktorowie nie powinni przestępować siły i miary zwyczajnego głosu, a poruszenia ich twarzy nie powinny być zbyt gwałtowne. Lecz wróćmy się do naszych czasów; teraźniejsi umieli korzystać z płochego przebierania się. Użycie masek stało się środkiem rozrywek i zabaw u wszystkich ludów Europy, a każdy z narodów nadał im cechę swojego charakteru: i tak w Niemczech wyprawiano w maskach karuzele i turnieje. Włosi wynaleźli najpotworniejsze i najzabawniejsze maski. Wenecyanom winniśmy te domina, które stały się w Europie najwygodniejszem w czasie zapust przebraniem. Lecz szczególniej w Neapolu zachował się zwyczaj osobliwszych maskarad. Tam poezya epiczna dostarcza im przedmiotów. Pierwsi magnaci kraju przedstawiali do niedawna w najświetniejszych i najpoważniejszych kostiumach sceny celniejszych pieśni Aryosta i Tassa. Tak więc nawet w płochościach karnawału nie zapomina ten klasyczny naród o sztukach pięknych, i używa masek do plastycznego przedstawienia jeniuszu swoich wielkich poetów.

Mieszanina różnych narodowości. Nie masz jej nigdzie w wyższym stopniu jak w Ameryce. Synowie purytańskich i presbyteryańskich wychodźców mieszają się tu z przybyszami z różnych krajow, różnych państw, różnych kończyn świata. Anglia dostarcza Ameryce rolników, Szkocya nadsyła jej co roku nowych obywateli, połowa Irlandyi przesiedla się na jej ziemię. Liczba Niemców i Francuzów wzmaga się ustawicznie. Sam nawet Hiszpan nie waha się opuścić ojczyznę i zamieszkać na zawsze w zamorskim kraju. Nie raz też na szczupłej przestrzeni ziemi można spotkać Włocha, Polaka, Węgra i Rossyanina, szukających razem środków do życia. Nadto przed cztera niespełna laty pękły długo zamknięte granice państwa Chińskiego, a całe tłumy Chińczyków wynoszą się z dobytkiem do Ameryki. Tak dziwne zmieszanie się przeróżnych żywiołów, przeróżnych ras ludzkich, musi z czasem szczególniejsze wydać skutki. Miejmy nadzieję, że każdy z pojedyńczych charakterów narodowych zachowa tu tylko swoją zaletną stronę.

Zielona barwa u roślin. Barwa zielona jest najważniejszą dla świata roślinnego. Tworzą ją maluczkie, zaledwie przez mikroskop dostrzegane kropelki, pływające w bezbarwnym soku roślinnym. Płyn ten nazywają botanicy *zielenią liścia*. Jest on najbardziej rozpowszechniony w naturze, i stoi w bezpośredniej styczności z światłem słonecznem. Bez światła słonecznego nie byłoby zieleni na świecie. Szparag przybiera dopiero wtedy barwę zieloną u wierzchołka, gdy wydobędzie się z ziemi. Kiełki ziemniaków w piwnicach, liście trawy pod deską lub cegłą, bywają zawsze białawe albo żółtawe, gdyż nie dostaje im światła słonecznego. Złoty promień słońca zdobi ziemię kobiercem zielonym. Zieleń jest barwą nadziei, toż w górę do światła wznosimy oczy, gdy nas ożywi jaka nadzieja.

Mężczyzna i kobieta w miłości. Mężczyzna zakłada chlubę na podbiciu — kobieta na utrzymaniu serca. Udziałem pierwszego są żądze śmiałe, udziałem drugiej pragnienia lękliwe. Pierwszy spogląda na upominek miłości jak na zdobycz — druga zaś jak na ofiarę — tego więcej kosztuje pozyskanie serca — amta utrata.

Żarty. — Jeden utrzymywał że w Laponii takie panują mrozy, iż mówiącym słowa marzną. „Lecz za to" — powiedział mu drugi — „gdy na wiosnę odwilż nastaje, same się dysputy prowadzą, ludzie nie potrzebują ust otwierać."

Z każdej własności da się człowiek łatwo wywłaszczyć, ale z miłości własnej nigdy, i nigdy nawet na to statutów nie będzie.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*